

Tadeusz Michalski

Archiwum Wschodnie 64

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Nagranie to jest dokonywane na prośbę pana redaktora Wiśniewskiego i ma służyć dla Archiwum Wschodniego w celach historycznych. Ja nazywam się Tadeusz Michalski, rocznik 1928 i spróbuję nakreślić swoją drogę do lasu i konsekwencje z niej wynikające w latach późniejszych, które trwają do ostatnich czasów. Otóż ta droga do lasu była taka: W 1944 roku na skutek zatargu z pracodawcą Niemcem musiałem uciekać z Łodzi. Przedostałem się przy pomocy matki przez ówczesną granicę z Generalną Gubernią, zostałem umieszczony u zaprzyjaźnionych znajomych gospodarzy w jednej z wsi w powiecie radomszczańskim. Po pewnym czasie do wsi przybył oddział w polskich mundurach - Wojska Polskiego, tak to się nazywało, którym się zainteresowałem ogromnie i prosiłem o przyjęcie mnie do tego oddziału. O przyjęciu zdecydowała moja znajomość języka niemieckiego, bo byłem jeszcze młody. Oddział ten wchodził w skład zgrupowania porucznika, później kapitana Stanisława Sojczyńskiego /Zbigniewa/ znanego bardziej pod pseudonimem "Warszyc". Oddziały te w akcji "Burza" wchodziły w skład 7 dywizji piechoty, 27 i 74 pp AK. W czasie "Burzy" wchodziliśmy w skład korpusu kieleckiego usiłując dotrzeć do Warszawy z odsieczą. Marsz ten jak wiadomo został przerwany z powodów na ogół znanych, ponieważ niewielkie były szanse na dotarcie masy kilkudziesięciu tysięcy ludzi do stolicy bez ciężkiej broni, czy broni przeciwlotniczej. Wróciliśmy więc na własne tereny, duże jednostki zostały rozformowane, działaliśmy w mniejszych oddziałach. Zbliżała się jesień, a więc zaczęły się czynności przeziębienia, trzeba było ludzi melinować we wsiach i tak trwaliśmy. Nie pamiętam dokładnie miejscowości, lecz było to w okolicach Żytna, czy Gidel. Po przetrwaniu zimowej ofensywy 1945 roku znaleźliśmy się na terenach opanowanych przez Armię Czerwoną i nie bardzo wiadomo było co robić. W tej sytuacji dowództwo uznało, że rozpuszcza oddziały, następuje

demobilizacja i kto może, gdzie wrócić - niech wraca. Ja wróciłem do Łodzi. Rodzice odzyskali już dom, z którego byliśmy wysiedleni w czasie wojny i podjąłem naukę w Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego w Łodzi. Takich chłopaków jak ja było sporo bo wielu przyszło z Powstania Warszawskiego, próbowaliśmy się uczyć, wracać do normalnego życia. I tak dotrwaliśmy do końca roku szkolnego. We wrześniu 1945 roku po rozpoczęciu się roku szkolnego, szkołę nawiedziły ekipy Urzędu Bezpieczeństwa, które dokonały różnego rodzaju zatrzymań, aresztowań itd. Myśmy nie tworzyli żadnej konspiracji, rozmawialiśmy o sytuacji, broni było sporo, byliśmy rozprażeni, młodzi. Nie było mowy o walkach z systemem, bo nie wiedzieliśmy jeszcze, jak to tam w przyszłości będzie. Niepokoiły wieści o zniknięciu kolegów, aresztowaniach i po mnie też przyszli, do domu. Ale zdążyłem uciec, przez ogród i płot. Zastanawiałem się co robić? Nawiałem kontakty z kolegami i przy pomocy jednego z nich Tadeusza Piotrowskiego dostałem się do jednego z oddziałów "Warszyca", był to oddział "Groźnego". Ten oddział prowadził walkę z bezpieką, zajmował się samoobroną społeczeństwa i tak to trwało w ciągu roku 1945, 1946 w walkach. Wchodziliśmy w skład Konspiracyjnego Wojska Polskiego "Warszyca". ~~W tym czasie~~
~~W tym czasie~~ Zgrupowanie "Warszyca" liczyło około pięciu tysięcy ludzi, nie więcej, sporo było oddziałów podległych "Warszycowi" - "Groźnego", "Pawła", "Murata", "Ottona", "Rudego" i innych. "Warszyc" kwestionował zasadę ujawniania się, bo nie mieliśmy się z czego ujawniać, tłumaczyć się z walki z Niemcami? Nie było powodów. Zresztą miał różne propozycje ze strony władz komunistycznych, żeby wyjść z lasu. Ale przeszkadzały różne historie, bo gdy ludzie wychodzili, aresztowano ich i tak to trwało do śmierci "Warszyca", którego aresztowano zresztą zupełnie przypadkowo. Potem warunki były coraz trudniejsze, były rozbicia oddziałów

ponowne ich łączenie, obławy, wtedy powstały Wojska Bezpieczeństwa Wewnętrznego później nazwane KBW, oni, bezpieka, inwigilacje bezpieki, obławy, które robiono na nasze oddziały były często prowadzone przez Rosjan, którzy w dużej masie stacjonowali na terenie Polski. W efekcie trudno było się utrzymać. Dowództwo zdecydowało więc, że kto gdzie może niech się melinuje, czy osiedla, przeczekuje. Liczyliśmy na konfrontację między "Zachodem" i "Wschodem", to był sens utrzymywania oddziałów. Warto jeszcze wspomnieć o stosunku ludności do walczących oddziałów. Ten stosunek był zdecydowanie przychylny, mieliśmy pomoc w zwiadzie, melinowaniu, opiece nad rannymi itd. Zresztą partyzantka nie może istnieć bez oparcia w ludności. Ci ludzie zaopartywali nas w żywność, leczyli nie biorąc często pieniędzy. Były to wsie biedne, ale piekły nam chleb, prażyły bieliznę, reperowały buty, leczyli rannych, gotowały mięso gdy biliśmy co kilka dni świnie, ~~W naszym~~ Oddziały kilkudziesięcioosobowe nie miały polowych kuchni, a więc była to pomoc nieoceniona, oddziały były lotne, niekiedy przebywały 30-40 km w ciągu nocy. Gdyśmy spali w stodołach, chłopci czuwali, wypadków kofidencji nie było na ogół. Nie było instytucji oficerów politycznych, ale ludziom trzeba było wytłumaczyć cele walki. Traktowaliśmy istniejący stan rzeczy, jako następną okupację ~~W naszym~~ - sowiecką, zaś władzę, która się mieniła ludową za uzurpatorów, kondotierów, nie z woli narodu, lecz narzuczonych. Przychodziła też prasa, ~~W~~ W naszym oddziale nie było możliwości wydawniczych, mieliśmy maszynę do pisania, ale tylko rozkazów, czy komunikatów, np przy wymierzaniu kar wójtom, którzy zbyt rygorystycznie nakładali kontyngenty na zbiedniałych chłopów, których gnębiono tak jak w czasie poprzedniej okupacji. Chłopci się skarżyli więc zdarzały się kary cielesne - chłosty wójtom. Natomiast stosunek ludzi do nas był

sympatyczny, przyjazny, nie było nigdy kwestii zakwaterowania u chłopów.

Wracając do przerwanej wątku, zdając sobie sprawę z ciężkiej sytuacji i braku widoków na znaczniejszy konflikt, bo partyzantka nie mogła przecież wygrać wojny z armią regularną nie może być zamiast - powzięliśmy decyzje o zaniechaniu walki w polu i przeczekania. Ja się znalazłem na Ziemiach Zachodnich. Wyposażono nas w dokumenty na inne nazwiska i ja z kolegą znaleźliśmy się w powiecie świdnickim.

- Czy mógłby pan wymienić jakieś znaczniejsze bitwy w których wziął pan udział ?

/Odpowiedź poza nagraniem/ - Nie, to jest jeszcze teraz niebezpieczne/.

- Ja się ujawniałem w Jeleniej Górze w Urzędzie Bezpieczeństwa. Pojechałem tam z kolegami, z bronią w mundurach. Zdaliśmy broń, ujawniałem się chyba trzy dni. W tym czasie zginął Świerczewski i szukano tych, którzy go zabili. Mnie również o to pytano. Trzeba powiedzieć, że potraktowano nas wręcz kurtuazyjnie, w tej Komisji Amnestyjnej. Starszałem się wszystko powiedzieć o sobie, niczego nie zataić, czułem instynktownie, że przeoczenie jakiegoś wydarzenia może spowodować jakieś przykrości w przyszłości, co zresztą miało miejsce. Ujawniłem się otrzymałem stosowny dokument - zaświadczenie, że uczyniłem za dość warunkom ustawy o amnestii. Zapytano mnie wtedy, gdzie mam zamiar się osiedlić - odpowiedziałem nieopatrznie, że wybieram się do Łodzi. Wróciłem, podjąłem przerwana naukę, podjąłem pracę. Wtedy już nie żyli moi rodzice, o czym wcześniej nie wiedziałem - oboje zmarli na początku 1946 roku w odstępie trzech tygodni. Zostałem więc sam, bez wykształcenia, bez zawodu. Pomogli mi trochę przyjaciele ojca. I trwało to do 1949 roku, może 1950 roku. Wówczas to otrzymałem wezwanie do XI Komisariatu MO przy ul. Biegańskiego. Okazałem wezwanie dyżur-

nemu, popatrzył na mnie dziwnie i kazał czekać. Niebawem do-
zło do mnie dwu panów, przyjrżeli mi się, zapytali czy to pan
Michalski i oświadczyli, że są z Urzędu Bezpieczeństwa i że
muszę iść z nimi. Była to propozycja nie do odrzucenia. Doje-
chaliśmy do ul.19 stycznia tramwajem, do Urzędu Bezpieczeństwa
Szczęknęła jedna, druga, trzecia brama, minęliśmy kręte kory-
tarze, znaleźliśmy się w jakimś pokoju w którym kazano mi się
rozebrać. Zapytali, czy te buty to z lasu jeszcze ? Chodziłem
wówczas w oficerkach, tak się wówczas chodziło. - Odpowiedzia-
łem, że to już nie z lasu, że to powojenne. Dali mi kawałek
papieru i powiedzieli, że mam napisać życiorys. Po napisaniu
życiorysu usłyszałem od funkcjonariusza, że mam szczegółowo
rozwinąć fragmenty, które on podkreślił. I znów kartka, szer-
szy opis znów podkreślenia, nowa kartka i nowy opis. Za któ-
rymś razem - powiedziałem, że już wszystko napisałem ja nie
mam co pisać. Wtedy przestali się bawić w kurtuazję, wymienio-
no mi "drzewo genealogiczne" od początku do końca i powiedzie-
li - będziesz tak długo pisał, jak my będziemy chcieli. I to
trwało od godziny 9 do którejś godziny nad ranem, tak że stra-
ciłem rachubę czasu i straciłem rachubę ilości napisanych ży-
ciorysów. Człowiek był ogłupiały, wyprany... Ich było kilku,
wydaje się, że nie mniej, niż sześciu i zmieniali się. Wtedy
nie było jeszcze żadnego bicia, była rozmowa, życiorysy. Póź-
niej powiedzieli - my ci pokażemy / bo już byli ze mną na ty/.
Przynieśli teczki i zaczęli mi odczytywać fragmenty zeznań
przed komisją amnestyjną, próbowali to konfrontować z zeznaniami
mi innych, nie mieli specjalnie do czego się przyczepiać. Nad
ranem zaprowadzili mnie do jakiejś celi i następnego dnia znów
było przesłuchiwanie i życiorysy. Pisanie życiorysów było
przeplatane przesłuchaniem. To się odbywało w taki sposób, że
przesłuchiwany siedział na stołku w odległości jakichś dwu me-
trów od biurka przesłuchującego, ręce na kolanach i miał wyp-

prostowany na tym stołku siedzieć. Jest to tortura, wytrzymanie na stołku kilka godzin z rękoma na kolansach, bez ruchu jest to dosyć uciążliwe. Tak siedziałem chyba ze trzy dni. Po czym kazano mi napisać oświadczenie, że nikomu nie powiem, że byłem tu i cokolwiek widziałem i mnie zwolnili. Gdy zapytałem, co mam powiedzieć w pracy - odpowiedzieli mi, żeby się niczego nie bał. Istotnie w pracy nie zadawali mi żadnych pytań. Wówczas już była moda na działy kadr w instytucjach, kadrowiec, jak wiadomo był "swoją" człowiekiem, więc on też nie pytał, ale ja bałem się swoich kolegów w pokoju, bo nie wiedziałem, czy tam jest jakiś konfident. W każdy razie w pracy nie prowadziło się żadnych rozmów na tematy polityczne, jeżeli, ktoś coś potrącił, to wychodziło, żeby nie słyszeć. Miałem świadomość faktu, że naprzeciw tej maszyny terrorku jestem sam i mogę liczyć tylko na swój spryt na jakąś dozę inteligencji, bo nikt nie był mi w stanie pomóc. Było to straszne uczucie, bo człowiek czuł się przytołoczony i mogli z nim zrobić wszystko, co ~~chcieli~~ zechcą. Takie zatrzymania i aresztowania powtarzały się cyklicznie przez chyba 4 lata. Zamykali z okazji 1 maja, kiedyś w styczniu zamknęli mnie w celi z wodą, lód się załamał pode mną byłem na szczęście w butach z cholewami i tak w tej wodzie stałem. Bywało repetowanie pistoletu i powiedzenia, że my ci skurwysynu pokażemy, co my możemy. Kiedyś po takim maltretowaniu psychicznym powiedziałem - zróbcie mi proces, bo w końcu ja się ujawniłem, ja zawierzyłem, jakie zarzuty macie od momentu ujawnienia, kiedy wyznałem przeszłość, próbuję wrócić do normalnego życia. W 1951 roku zdarzyła się taka historia, że aresztowano mnie, zostałem wypuszczony po kilku dniach, bo te aresztowania trwały tydzień, dwa tygodnie, trzy dni, czysami krócej i ja zdążyłem zdać egzamin maturalny. Znów mnie zamknęli i wygadałem się, że jestem po maturze. To jeden z nich zapytał - to wy ma-

cie maturę?

- Powiedziałem, że właśnie zdałem egzamin maturalny.

Popatrzyli na siebie i powiedzieli - to ty taki, owaki, masz szczęście, że myśmy nie wiedzieli, bo gdybyśmy wiedzieli to byś matury nie zrobił. I taki Żyd mi powiedział - bo wy kiedy nie macie matury, to możecie być inspirowany, natomiast jak macie maturę, to możecie już inspirować. I tak jakoś mi się upiekło, bo maturę zdawałem w szkole dla dorosłych na początku kwietnia w Technikum Energetycznym. Udało mi się zdać egzaminy dosłownie między jednym, a drugim zamknięciem.

Zacząłem się domagać procesu, bo moje odporność psychiczna już malała. Pytałem jaka jest moja wina?

- Odpowiedzieli mi, że i tak by mnie złapali, gdybym się nie ujawnił.

- To nie byłoby takie proste, gdy ~~byłem~~ miałem broń w ręku, ilu z was mogło zginąć? Ja po prostu uwierzyłem, że nie ma sensu dalsza walka i wyszliśmy z lasu. Od tego momentu nie mi udowodnić nie możecie, nie możecie postawić konkretnych zarzutów.

No, ale o zarzuty nie chodziło, chodziło tylko o strerrozowanie społeczeństwa, bo wchodziliśmy w okres, kiedy zjawiał się Rokossowski, odbywały się procesy i to była przygrywka, do tego wszystkiego. ~~Wszystko~~

To ustało dopiero po śmierci Bieruta, Ale opowiem panu taką ciekawostkę, o dalszych echem tego wszystkiego. Otóż w latach sześćdziesiątych otrzymałem propozycję przyjęcia funkcji ławnika sądu. Typowało mnie do tej funkcji Stronnictwo Demokratyczne. Po namowach - zgodziłem się. Po jakimś czasie zostałem wezwany do urzędu miasta przy ul. Piotrkowskiej 104 do wydziału spraw wewnętrznych. Tam młody urzędnik oświadczył mi, że zostałem wybrany na ławnika Sądu Wojewódzkiego, ale nie mogę być ławnikiem.

Gdy go zapytałem dlaczego - odpowiedział mi, że byłem w konspiracji przeciw władzy ludowej.

- Potwierdziłem to i powiedziałem mu, że się ujawniłem.

- W tej sytuacji nie może pan być ławnikiem.

Nie zależało mi na tej funkcji, więc próbowałem odejść. Wówczas urzędnik ów powiedział mi, że muszę napisać oświadczenie, iż się zrzekam funkcji ławnika. Wtedy powiedziałem mu, że wcale się nie zrzekam tej funkcji, że właśnie teraz pragnę gorąco zostać ławnikiem. Na co on odparł, że w tej sytuacji będzie musiał powiadomić mój zakład pracy. Odpowiedziałem mu, że moja przeszłość jest dla mnie chlubą i nie boję się owego powiadomiania. Zastanowiłem się jednak kto w Polsce Ludowej może być ławnikiem ?

Okazało się, że tu zadziałały jakieś zakulisowe sprężyny. Dlaczego o tym mówię ? Mówię o tym dlatego, że to wszystko się nie skończyło, że gdzieś tam w dossier, w MSW, czy w SB jest ten haczyk. Mnie na tym nie zależy, bo w tej chwili nie ubiegam się o żadne zaszczyty, ale jest to dowód, że nie można do końca uwierzyć, że było, minęło, że nie pytamy, jak mówi Jaruzelski skąd, kto przychodzi,.. jest to zwyczajna nieprawda. Bo ten Hak jest i w odpowiednim czasie on zostanie wyciągnięty, co więcej ryzykuję twierdzenie, że ludzie z takim hakiem są bardzo wygodni dla systemu, ponieważ zawsze można mu wyciągnąć coś z przeszłości i on musi być posłuszny, tak jak mnie usiłował postraszyć ten urzędnik w Radzie Miejskiej, że mi wyciągnie coś z przeszłości, co mi może zaszkodzić w karierze, nie wiedząc, że mi na żadnej karierze nie zależy.

Chciałem jeszcze zapytać, czy miał pan jakieś trudności w uczelni ?

-Tak. Ja po otrzymaniu matury technicznej postanowiłem studiować. Zdałem egzamin na Wieczorową Szkołę Inżynierską, w

1951 roku. Wtedy trzeba było mieć skierowania z zakładu pracy. Ja takie skierowanie nawet dostałem, że mnie kierują, zdałem egzamin, lecz nie znałem tylko swojej opinii. W 1952 roku zostałem wezwany do rektora, był nim prof. Hecht, w jego gabinecie siedziało kilku panów, którzy pytali mnie, co mój ojciec robił w czasie okupacji. Odpowiedziałem, że mój ojciec w czasie okupacji pracował jako elektromonter w firmie Siemens'a. Na co jeden z tych panów powiedział, że była to niemiecka firma. Stwierdziłem, że w ówczesnym Warthegau, nie było polskich firm, a mój ojciec nie był akcjonariuszem, tylko elektromonterem. Ten pan się jednak upierał, że to była niemiecka firma. Na to trochę zdenerwowany odpowiedziałem mu, że Marchlewski pracował w żydowskiej firmie. Zrobił się raban i stamtąd poszedłem już na ul. 19 stycznia. Tam potraktowali mnie już nieco bardziej brutalnie, dostałem trochę batów i zostałem wywalony z uczelni. Opinia moja mówiła, że jestem do obecnej rzeczywistości ustosunkowany obojętnie. Mój personalny okazał się i tak przyzwoity, nie napisał, że negatywnie, czy wrogo - tylko obojętnie. To znaczy, że nie kochałem pierwszą wiosną miłością socjalizmu, lecz byłem obojętny wobec tych wszystkich przemian, które zachodziły na wielkich budowach socjalizmu. Byłem dyskryminowany w pracy do tego stopnia, że jako kierownik budowy nie mogłem prowadzić żadnych budów tajnych, a tajnych rzeczy było wówczas bardzo wiele, zaś w grupie osób którymi kierowałem byli tacy, którzy mieli za zadanie inwigilowanie mnie. Powiedział mi o tym jeden z brygadzystów, z którym jestem zresztą do dziś w przyjaźni.

Opowiem panu jeszcze jedną ciekawostkę. Otóż gdy pracowałem na budowie największej w PRL cegielni w Zielonce pod Warszawą, gdzie nawiasem mówiąc, wcale nie było gliny, co zresztą nie było najwspanialsze, bo jak wiadomo w socjalizmie cegielnia nie musi mieć gliny, jak huta rudy - spotkałem człowieka, który był

zastępcą komendanta UB w Jeleniej Górze, gdy ja się ujawnia-
 łem, a w Zielonce został zastępcą dyrektora. Wróć jeszcze do
 momentu ujawniania się. Otóż gdy zostałem wezwany do Szefa UB
 w czasie ujawniania się, do jego gabinetu wszedł jakiś pan
 którego szef UB przedstawił jako swego zastępcę. Ten pan od-
 wrócił się do okna, czyli tyłem do nas i nie brał udziału w
 rozmowie. Ja po tylu latach poznałem w dyrektorze cegielni
 w Zielonce tamtego. Był to już roku 1953 chyba, a więc był to
 okres największego terroru. Ja zwalniałem się z tego przed-
 sięwzięcia chyba w 1954 roku już po śmierci Stalina i chyba
 po śmierci Bieruta, w każdym razie już jakieś zmiany się szy-
 kowały. W międzyczasie spotykaliśmy się na różnych konferen-
 cjach i naradach i byliśmy z dyrektorem zaznajomieni. I właś-
 ciwie przekazując komuś innemu budowę, przy niewielkiej ilość-
 ci alkoholu - powiedziałem dyrektorowi, że się znamy od daw-
 na. On to potwierdził, ale ja mu przypomniałem skąd się zna-
 my - przypomniałem fakt mojego ujawniania się w Jeleniej Gó-
 rze i przypomniałem mu, że był wówczas zastępcą szefa Urzędu
 Bezpieczeństwa. Było to w towarzystwie kilku osób i wówczas
 dyrektor zbladł, nie poznał mnie. A czasy się już zmieniały.

Później przyszedł Gomułka, nadzieje z nim związane - wiado-
 mo. Ostatnie moje spotkanie z ludźmi z bezpieki odbyło się
 już chyba na początku lat siedemdziesiątych, na grzybach.
 Wybrałem się na grzyby w okolice Szadku. Był tam pas jeryzyn
 do wysokości piersi mężczyzny. Ja posługuję się przy zbieraniu
 grzybów nożem myśliwskim. W pewnym momencie podniosłem się
 i za wałem jeryzyn dojrzałem dwu starszych panów. Trzymając ten
 nóż wskazałem ich żonie i powiedziałem głośno - popatrz, to
 są ludzie z UB, którzy mnie kiedyś przesłuchiwali. Gdy oni
 zobaczyli, że stoję z nożem w ręku, w lesie, to łamali gałę-
 zie, tak wiali. I to była taka moje drobna satysfakcja, za te
 różne spotkania, które musiałem odbywać.

Ja chciałbym jeszcze prosić o wnioski. Czy wasza walka coś dała, czy nie sądzi pan, że na terenach, gdzie działał "Warszyc" i jego oddziały prawie nie było spółdzielni produkcyjnych, że to przyhamowało tam zakładanie kołchozów, na terenie radomszczańskie, czy przyległych powiatów ?

Proszę pana - "Warszyc" obejmował swym działaniem nie tylko radomszczańskie, lecz całą Polskę centralną, powiaty łęczycki, sieradzki, turecki, koniński, województwo łódzkie. Przypomnijmy choćby słynne rozbicie Urzędu Bezpieczeństwa w Pabijanicach dokonane przez "Maja" Olka Arkuszyńskiego, rozbili wtedy bezpiekę i nawet zabrali Moczarowi samochód. To była samoobrona społeczeństwa, społeczeństwo musiało się jakoś bronić. Nie wiem, czy pan pamięta, że o milicji, to się mówiło, że Milicja Obywatelska, to jest straż złodziejska. Wiele napadów rabunkowych było dokonywanych przez ówczesnych funkcjonariuszy milicji, bowiem do tej milicji szły najgorsze szumowiny, oni zakładali czerwone opaski i zabierali wzorem swoich sowieckich mocodawców, bo widzieli, że sowiecki bojec ścigał panu zegarek, czy buty, nie mówiąc już o gwałtach itd, bo to rzecz znana i oni jak za panią matką, robili to samo. Społeczeństwo musiało się więc bronić. Zabierali na zasadzie ty masz, to ja muszę mieć. Przypominam sobie milicjanta na początku 1945 roku, który z karabinem na plecach włókł dywan do siebie do domu. Co były szumowiny, oni szli do milicji, żeby nakraść i kradli. Co się z nimi później działo, być może niektórzy mają dziś generalskie stopnie, niektórzy zaś zostali wyrzuceni. Oddziały, które zostały w lesie broniły się, jeśli człowiek wracał do domu i przychodziła po niego bezpieka, to wracał do kolegów, do lasu. Jeżeli w kompani honorowej Uczestników Walki Zbrojnej brał udział por. Rolow i po defiladzie bezpieka czekała na niego w domu, to cóż było robić ? Te kotły, które na nas robiono, penetracje środowisk, to wszystko wymagało

odpowiedzi w postaci samoobrony. Zabierano mienie chłopu, to także wymagało samoobrony. Ja dziś patrząc na to z perspektywy czasu, wzbogacony o wiedzę na ten temat zacząłem dochodzić do tego - za co byłem prześladowany, jakie były tego powody. Ja byłem przecież kilkunastoletnim chłopcem. Trudno było wymagać ode mnie sprecyzowanych poglądów politycznych, czy jakiegoś stosunku do takiej czy innej orientacji politycznej. I ciągle zadawałem sobie pytanie dlaczego mnie prześladowali? Ja miałem kolegę w szkole powszechnej, który w czasie okupacji był folksdojczem, należał do hitlerjugend, a po wojnie znalazł się w szkole oficerskiej - zapytałem więc w bezpiece dlaczego do niego nie mieli pretensji. Odpowiedzieli mi, że on był małoletni i trzeba mu było wybaczyć. Mnie tylko niczego nie wybaczano, choć byłem w jego wieku. Ja byłem większym złem, takich jak ja trzeba było niszczyć. Czy to się przydało społeczeństwu? Ubolewać należy, że Polacy do siebie strzelali, to nie ulega wątpliwości. Opowiem panu zresztą konkretny przydatek. Jeden z moich kolegów z lasu miał dwu kuzynów z których jeden był w bezpiece drugi w milicji. Przy czym ten w bezpiece przyszedł aresztować ojca tego mego kolegi, nie chcę zresztą wymieniać jego nazwiska, on już nie żyje. On przyszedł i aresztował swego stryja i chrzestnego, za syna i tamten siedział, a więc stosowano odpowiedzialność zbiorową, był to system totalitarny.

Opowiem panu jeszcze jedną ciekawostkę, kiedyś otrzymałem urlop z lasu, przyjechałem do domu, przyjechałem z kolegą. Po drodze ludzie nam pomagali, udzielali noclegów, człowiek nie wchodził do łóżka, bo był zawszony, chyba, że ktoś przyjmował niechętnie, to wtedy wchodziło się do łóżka. Matka moja była chora, przedstawiłem jej tego kolegę, on pojechał do swojej rodziny, ja odwiedziłem ciotkę. Następnego dnia tutaj, do tego domu przyszła grupa AK-owców, przyszli po mnie, żeby skrócić mój urlop. Nie zastali mnie na szczęście, wśród nich był ów

mój kolega. Jak się później okazało to była bezpieka, zaś kolega już był aresztowany, ale przyszedł po mnie w mundurze, z bronią. On później został skazany na karę śmierci, ale wcześniej dał się chyba przekabacić i udał, że jest z oddziałem. Sprawdziłem całą rzecz po powrocie do oddziału i doszedłem do tego, że to była bezpieka. Takich prób było jeszcze wiele. Przychodzili sprawdzać jeszcze długo przed moim aresztowaniem - nękać mnie i rodzinę.

Przypomnę jeszcze jeden incydent. Otóż, gdy mnie przesłuchiowano w bezpiece znalazł się jakiś porządny człowiek, który zamiast mnie męczyć, sam był zresztą zmęczony - wypalił ze mną pakpirosa, przeczekiwał miast mnie badać. Spotkałem go po latach w sześćdziesiątych, już latach względnej swobody w jakiejś instytucji, gdzie on pracował. Zaferowałem mu podwiezienie. Już w samochodzie, a miałem wówczas "Warszawę", a więc samochód jak na owe czasy drogi - on zapytał - proszę pana, jak to jest, ja broniłem tego ustroju i chodziłem pieszo, pan walczył z tym ustrojem i jeździ pan dobrym samochodem.

- Ja mu odpowiedziałem, że nie wszystko się bierze na plecy, lecz na rozum, wy zaś najczęściej mieliście rozum w pięści, kiedy trzeba go było mieć w głowie.